

Redaktor naczelny TADEUSZ SWIĘCICKI
Prenumerata miesięczna: z przesyłką pocztową lub dostawą do domu : **3,800.000** Mkp. — **Zagranicą** podwójnie. — **W Ameryce** rocznie 12 dolarów, półrocznie 6 dol.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

CENY OGŁOSZEŃ: W części inseratowej na ostatniej stronie za wiersz jednoszpaltowy milimetrowy **15 groszy** — cała kolumna **Złp. 200·—** pół kolumny **Złp. 100·—** 1/4 kolumny **Złp. 55·—** 1/8 kolumny **Złp. 30·—** 1/16 kolumny **Złp. 20·—.** W częsci redakcyjnej za 1 wiersz milim. jednoszpaltowy **40 groszy** — cała kolumna **Złp. 300·—** 1/2 kolumny **Złp. 160·—** 1/4 kolumny **Złp. 75·—** 1/8 kolumny **Złp. 40·—** 1/16 kolumny **Złp. 25·—.** Układ tabelaryczny **50** % drożej. Ogłoszenia zagraniczne **100** % drożej. — Oprócz ceny za zajęte miejsce należytość za klisze według cen bieżących obecnie **15 gr.** za centm.² Ogłoszenia kolor. 100% drożej. Ceny ogłoszeń w Złotych polskich obliczonych po urzędowym kursie Franka złotego.
Konto P. K. O. Nr. 140.260. Konto Bank Związku Spółek Zarob. w Krakowie. Redakcja otwarta dla stron od 10 — 12. Rękopisów i fotografji Redakcja nie zwraca

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. **Numer pojedynczy 1,000.000 Marek.**

Rok XXI. Kraków, 12 kwietnia 1924. Nr. 15.

Rząd naprawy skarbu



Gabinet Władysława Grabskiego w pierwotnym swym składzie. Fotografja pierwszego posiedzenia gabinetu wykonana dla „Nowości Ill." przez Marjana Fuksa.

ANTONI WASKOWSKI.

CIENIOM JULJUSZA SŁOWACKIEGO.

(W 75-tą rocznicę śmierci poety)

W roku bieżącym 75 lat upłynęło od zgonu Juljusza Słowackiego, którego prochy do dziś spoczywają na obczyźnie, w Paryżu. W związku z rocznicą tą krakowski Związek Literatów podjął piękną i słuszną myśl sprowadzenia prochów jednego z największych wieszczów naszych do Ojczyzny. Poniżej podajemy wiersz pióra jednego z najbardziej znanych literatów krakowskich, poety wykwintnego i kulturalnego, członka Wydziału krakowskiego Związku Literatów, p. Antoniego Waśkowskiego. Wiersz ten, użyczony nam łaskawie przez autora, był już drukowany w jednem z pism krakowskich, zamieszczamy ze względu na piękną i słuszną myśl w nim zawartą, na jego wysoką wartość literacką oraz ze względu na szerokie koła czytelników naszych, którzy pragnąc współdziałać ze Związkiem Literatów w akcji o sprowadzenie prochów Słowackiego, i organizując na ten cel w całej Polsce wieczory i obchody uroczyste — znajdą na łamach naszych w ten sposób utwór, jakby przeznaczony dla artystycznej recytacji; piękny formą a podniosły myślą.



I niema, ktoby wydarł Twe popioły
ziemi, co przecie nie jest Twoją ziemią...

Na chmur baldachu polskie archanioły,
snów malowidła
i młodych orłów szalejące skrzydła
dumnie a szumnie
wskazują drogę Twej trumnie,
a z piersi naszych przepastnego wnętrza
wstaje modlitwa najświętsza
i woła dzwon:
— wracaj!...

Bo oto co dnia, skoro świt, nad ranem
każdy z nas zrywa się ze snu Kordjanem
i w gruz obala cezarowy tron
i Polskę żywą przeżywa,
jako, że bije godzina szczęśliwa
i wolnym — wolne wznoszą się kościoły
i w duszach gwiazdy się plemią...

A niema, ktoby wydarł Twe popioły
ziemi, co przecież nie jest Twoją ziemią...

Kiedy posłyszysz polskie dzwony w grobie
w godzinę duchów północną,
wiedz, że to serca nam biją tak mocno
ku Tobie...:
— wracaj!...

Co rok klucz żórawi
z wędrówki długiej, z za morza, z wyraju
leci do kraju,
a niebo w zorzach jak serce się krwawi,
jak serce Twoje,
serce — co rade przegryźć trumien próchno
i skrzydeł dostać
i jak świetlana na piorunach postać
duchów za sobą zwołać korowoje
i patrzeć rychło płomieniami buchną
między swoimi...
serce — co w dzwonach i kadzideł dymie
podobne żywej kolumnie
na nieb lazurze blaskami złotemi
znaczy to imię:
Sława!...

O jak tam smutno musi być ci w trumnie,
gdy słyszysz zdala,
iże się w Polsce cud czekany stawa
i Derwidowych strun pieśń się zapala,
i że mściciele Wenedów nie drzemią
jeno jak młode rosną archanioły,
wichura — szał...
a niema, ktoby wydarł Twe popioły
ziemi, co przecie nie jest Twoją ziemia
i wolnej Polsce je dał!...
— wracaj!...

Już sarkofagi dźwignęły się oto
jak Druidowy głaz
ku Twojej pieśni,
wielkość, ta wielkość, co żyła w nas
snem i tęsknotą,
dostaje żywych kras
i nie śni,
jeno z zapomnień i najgłębszych mroków
dziś żywa
w lot się porywa
od wawelskich stoków...
wielkość — ci dumni i w sobie boleśni
w noc wypatrują puste oczodoły,
gdzie nad mogiłą Twą anioły
drzemią...

A niema, ktoby wydarł Twe popioły
ziemi, co przecie nie jest Twoją ziemią...
— wracaj!...

Za Tobą od stu lat się zrywa
cherubinowych zawierucha buntów
i w każde święto bije dzwon Zygmuntów
od serc głębokich po niebos przyczoły,
ze szumem wichrów i za lotem ptaków,
bezkresem wolnych na błękitach szlaków
i gwiazd drogami srebrnemi,
o których marzą dziś na obcej ziemi
Twoje popioły...
— wracaj!...

Już widać... kędyś od rubieży,
od zórz ognistych a najdalszych pól
orłowie lecą — Duch-król
woła rycerzy!...
już słychać... wicher szaleje i świszcze
od onych lęków i Wisły,
gdzie się wawelskie posiadło dworzyszcze,
w piorunach krwawe mieczyska zabłysły
i w skrach zawieruchy
ku Twej mogile otwierają szlak
widome duchy...
z narodem idą — na znak!!...
i natężają słuch i wznoszą ręce
w ustawnych tęsknot udręce,
zali się żywą staje Twa mogiła
i zali nad nią biała anielica,
co z Chrystusowej łzy się narodziła,
rozjaśnia lica
i w tęcz girlandzie zwołuje anioły
błękitem strojne i rosą
wiośnianych kras,
i zali wreszcie one z nią we społy
na białych skrzydłach Twe święte popioły
ojczyźnie przyniosą,
bo oto czas!!! już czas!!!...

Duch Twój żyw przecie żywemi oczyma
jak stróż strzeże nas
i żywot ima
ku sobie,
więc, gdy posłyszysz polskie dzwony w grobie
w godzinę duchów północną,
wiedz, że to serca nam biją tak mocno
ku Tobie...
a kiedy zasię wichry Ci zapłaczą
od naszych pól
i rubieży
pomyśl, że Ty nas, ścigany rozpaczą,
uczył jak cierpieć należy
i ból
krzepić siłą,
żeby zwycięstwo zyskać — za mogiłą,
a gdy szczeliną do grobu się wmota
blask słońca albo pioruna
i na Twe serce upadnie we trumnie,
Ty, prochu, przez sen uśmiechnij się dumnie
albowiem będzie to struna
ze złota,
którąś ostawił swoim pokoleniom...

Dzisiaj, podobni nieśmiertelnym cieniom
Twego żywota,
idziemy w jasne zaranie
i mocno bijem o przyczoły
nieba
sercami swemi,
my, których oto ze zjadaczy chleba
zmieniasz w anioły,
huraganowe rzucamy wołanie:
— wracaj!!!...

A niema, ktoby oddał Twe popioły
ojczystej ziemi...

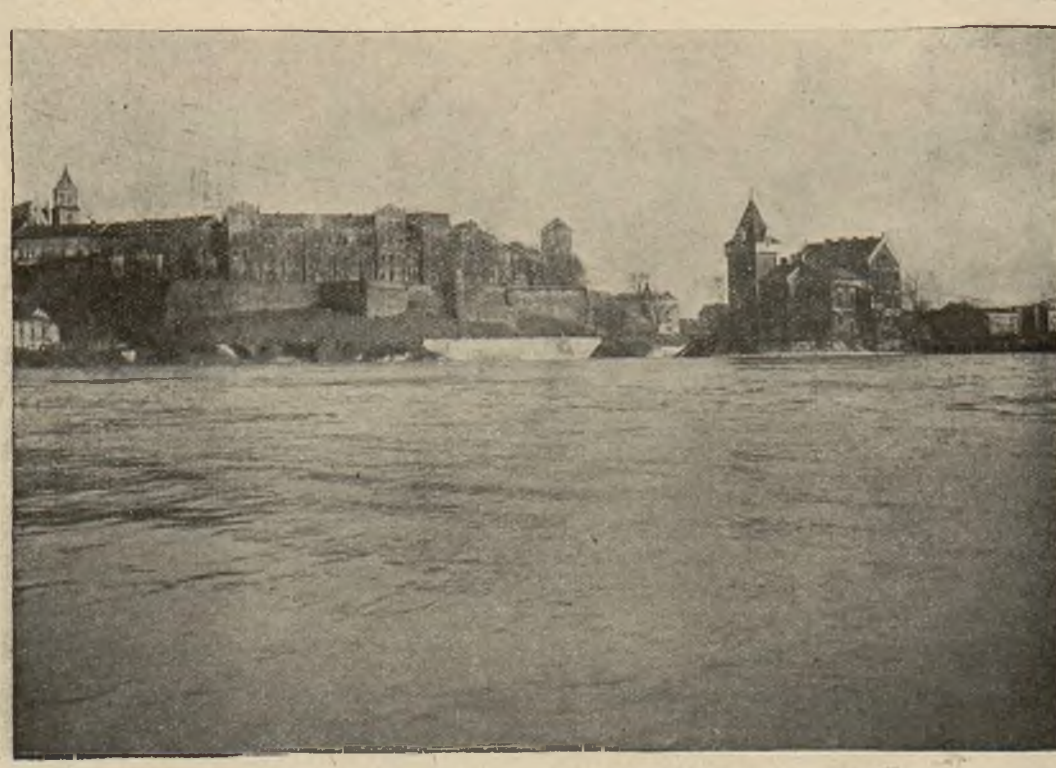
Nasze klęski dyplomatyczne a naprawa skarbu.

Warszawa, w kwietniu.

Dzisiaj, kiedy dzięki premierowi Grabskiemu zmora choroby finansowo-drożyźnianej przestaje Polskę dławić, społeczeństwo skierowuje tem baczniejszą uwagę na palące zagadnienia naszej polityki zagranicznej. A to tem bardziej, że dwie ostatnie klęski na tem polu, jaworzyńska i kłajpedzka wstrząsnęły do głębi opinją publiczną.

Pierwszym i naturalnym jej odruchem było szukanie winnych. Oczywiście zaatakowano przedewszystkiem Ministerstwo Spraw Zagranicznich i nasze przedstawicielstwa na forum międzynarodowem.

Odruchowi temu dziwić się nie można. W każdem państwie minister Spraw Zagr. jest odpowiedzialny za obrót spraw w dziedzinie polityki zewnętrznej. A jednak, jeżeli zastanowimy się głębiej nad dotychczasowymi warunkami bytu politycznego



Najwyższy stan wody na Wiśle pod Krakowem w czasie powodzi warszawskiej. Willa Lasockich naprzeciw Wawelu otoczona została wodą jak wyspa i odcięta od brzegu dębnickiego, z którym połączenie utrzymywano tylko przez specjalny mostek.





Powódź w Warszawie: Widok ulicy Czerniakowskiej, zalanej wodą, po której komunikacja odbywa się na łodziach. Fot. W. Rokosz (Warszawa).

Polski, dojdziemy do wniosku, że nie można tu zwalać całej winy na tych, którzy dźwigali lub dźwigają oficjalną odpowiedzialność za nasze niepowodzenia dyplomatyczne.

Jest bowiem rzeczą ogólnie znaną, że sukcesy polityczne na forum międzynarodowem są ściśle uzależnione od prestiżu, jakim cieszy się dane państwo u zagranicy. Jeżeli chodzi o Polskę, to prestiż jej z powodu złego położenia finansowego był bardzo mierny a w drugiem półroczu r. 1923 spadł jeszcze bardziej — wraz z marką polską. A że nawet przejęta podobno wzniosłym idealizmem Liga Narodów woli trzymać z możnymi i bogatymi, niż z bankrutami, więc przegrywaliśmy raz po razu. Ostatnim rezultatem naszej niedawnej sytuacji skarbowej była sprawa kłajpedzka, która przypadła już w okresie pierwszych brzasków odrodzenia finansowego. Echo przeszłości...

Nie należy jednak wątpić, że przegrana ta była naprawdę ostatnią.

Nic w tem dziwnego. Wchodzimy rzeczywiście w okres naprawy skarbu a ta odbije się niechybnie na naszem znaczeniu międzynarodowem. Tak więc najlepszym ministrem Spraw Zagr. okaże się... minister skarbu Grabski. Radosna jego mowa w komisji budżetowej Sejmu odbije się z pewnością głośnem echem zagranicą i wywoła tam niemniejsze wrażenie jak w Polsce. Bo w Polsce przyjęto ją wszędzie wprost z entuzjazmem. Wiadomości o zniknięciu deficytu i stabilizacji waluty, o pokryciu pięciokrotnem pożyczki włoskiej i rozpoczęciu spłat długu amerykańskiego, wreszcie o wspaniałym wysiłku inteligencji w subskrypcji akcji Banku Polskiego — wszystko to przepoiło społeczeństwo głębokim optymizmem i ogromną wdzięcznością względem premiera Grabskiego za jego drugi „cud nad Wisłą“. Mowę jego uznano powszechnie za najlepszą ze wszystkich dotychczasowych exposès skarbowych od początku istnienia Polski: nic dziwnego, wszak wymowa cyfr i faktów zastąpiła najświetniejsze majstersztyki retoryki. Zrozumie to i zagranica.

Tak więc minister skarbu przygotował ministrowi Spraw Zagr. najlepszy grunt do naprawy dotychczasowych niepowodzeń. Min. Zamoyski ma dobrą sposobność aby atuty te wyzyskać.

* * *

W związku z tem wielkiem zwycięstwem p. Grabskiego podajemy dziś fotografję pierwszego posiedzenia gabinetu „Naprawy Skarbu“. To najbliżsi współpracownicy premjera w wielkiej kampanji o uratowanie polskich finansów. Trzej z nich zostali zastąpieni przez inne, nowe siły: na miejscu zasłużonego gen. Sosnkowskiego zasiada dziś najwybitniejszy organizator z pośród generałów — gen. Sikorski. Ministra Sołtana, który powrócił na swe województwo warszawskie zastąpił p. Huebner, min. Darowski jest już obecnie naszym ministrem pełnomocnym i posłem w Moskwie, a resortem pracy kieruje dziś p. Simon. Lecz zmiany te nie zmieniły wcale ogólnego charakteru i wartości gabinetu, który dziś już uwieńczony zwycięstwem, z dumą nosić może przydomek „rządu naprawy“.

W.



Polska pod wodą: Dom P. A. K. P. D. w Warszawie przy ulicy Czerniakowskiej w którym mieściło się schronisko dla dzieci, pękł wskutek podmycia fundamentów.

Polska pod wodą.

Ostatnia klęska powodzi dotknęła całą Polskę. Wszystkie prawie rzeki i zbiorowiska wód na rozległych obszarach Rzeczypospolitej wystąpiły z brzegów, niszcząc dobytek ludzki i niwecząc wszelkie przeszkody i tamy, które postawiła na drodze rozpętanym żywiołom przemyślna ręka człowieka.

Dziś, gdy wody opadają już zwolna, możemy sobie dopiero zdać sprawę z rozmiarów katastrofy.

Ze wszystkich stron kraju napływają wieści do nas, a i fotografje, ten najautentyczniejszy dowód prawdy, dając obraz tego, jak wyglądały poszczególne miejscowości i okolice kraju, pokryty szarobrudnym, wzburzonym odmętem.

Tam, na Zachodzie Brda przekształca Bydgoszcz w Wenecję.

A i w stolicy łodzie — oto jedyna możliwa komunikacja po rzece - ulicy Czerniakowskiej.

Jak groźny to żywioł — dowodzi pęknięty mur domu Polsko-Amerykańskiego Komitetu niesienia pomocy dzieciom w Warszawie, które musiano usunąć czemprędzej ze Schroniska, by uniknąć ewentualnej katastrofy.

Obecnie opada, pozostawiając za sobą szlam, szczątki budulca i wszystko to, co zdołała porwać z dobytku i skrzętnej pracy człowieka.



Powódź w Bydgoszczy: Ulica Hermana Frankego, znalazła się wskutek wylewu Brdy pod wodą. Mieszkańcy dostawali się do domów jedynie przy pomocy łódek. Fot. W. Wojucki (Bydgoszcz)

W krainie kwitnącej wiśni.

Japonja, która w tak szalonem, rekordowem tempie dostosowała się do wymogów wszechświatowego, nowoczesnego „kręgu interesów“, aby w koncercie mocarstw zająć jedno z miejsc najpoczytniejszych, Japonja, która wszystkimi porami poczęła wchłaniać w siebie pokarm współczesnej kosmopolitycznej cywilizacji — tętni zawsze bujnem i ruchliwem życiem. Tę samą gorączkę, która objawiła się łakomem i gwałtownem chwytaniem nowości ze świata wykazuje Japonja stale w życiu wewnętrznem, przedewszystkiem politycznem. Nic dziwnego: kraj buchający, jak wulkan, lawą ekspanzji kulturalnej i ekonomicznej, kraj niepohamowanej energji narodowej, umiejący nie przechodzić, lecz wprost przeskakiwać, jak gimnastyk, kolejne fazy rozkwitu nowożytnego mocarstwa, kraj mrówczej, inteligentnej, cudownie organizowanej pracy nie może stygnąć i kostnieć, nie może powlekać się skorupą starczej apatji. Tysiące lat kultury przebiegły nad nim nie gangrenując i nie trując pulsującego sokami pnia jego tężyzny, fale wielu klęsk i wiekowych, epokowych przeżyć nie podmyły tej twardej niespożytej skały. Kwiat wiśni, symbol Japonji w ogniu wojen i wewnętrznych rewolt nie zesechł, nie zwiędł, nie przekwitł — trwa wiecznie młody, radośnie uśmiechnięty i pachnący. Narody zużywają się, jak zbyt długo eksploatowany motor. Rzym spróchniał, zniedołężnieli Osmanie, wiele tysiącletnich kultur skarlało, zniewieściało i przewróciło się, jak ów przysłowiowy „kolos na glinianych nogach“.

— Japonja nie starzeje się i nie gnije. Nie niewieścieje — przeciwnie, kształci coraz intenzywniej tężyznę ducha i mięśnie swoich obywateli. Z tą samą fanatyczną, radosną odwagą — z jaką ginęli starzy „dajmjo“ w spiżowych zbrojach za „mikada“ i za swój ukochany „Nippon“, z tą samą zdumiewającą obojętnością i bohaterskim spokojem, z jakim w obronie honoru popełniali „harakiri“ szlachetni samuraye — idą na śmierć heroiczni chłopcy japońscy z Tokjo, Osaki i Jokohamy w rosyjskiej i światowej wojnie. Najnowszy przykład poświęcenia i szalonej energji poddanych „mikada“ mieliśmy teraz po strasznej, elementarnej katastrofie trzęsienia ziemi, jaka nawiedziła najbogatsze, kwitnące prowincje Japonji. Zmiecione z powierzchni ziemi wsi i miasta odbudowują się i wstają znowu, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zubożony majątek narodowy rośnie z powrotem, jak na drożdżach, w całem państwie „żółtych mrówek“ wre olbrzymia, gigantyczna praca nad zagojeniem ran zadanych mu przez bezlitosny żywioł...

Wewnętrzne przejścia nie przeszkadzają Japonji braniu żywego udziału w kampanji politycznej i ekonomicznej na zewnątrz, nie cofają jej z drogi świadomej i mądrej ekspanzji i nie odsuwają mas obywateli od ciągłego kontaktu z życiem publicznem państwa. Ulica japońska interesuje się żywo polityką rządu tak wewnętrzną, jak i zagraniczną, wypowiada swój sąd o wypadkach i nie taji niezadowolenia z niemiłych jej w polityce tej kierunków. Widzimy tu tłumną, jaskrawą manifestację partji opozycyjnych przeciw gabinetowi Kiyura w Tokjo. Demonstranci tłoczą się ze sztandarami i napisami na drągach, a całe falangi policjantów powstrzymują tłum od ekscesów...



Powódź w Bydgoszczy: Poczta okręgowa w Bydgoszczy (gmach z zegarem) otoczona przez wodę dokoła. Kto chciał nadać depeszę lub list, musiał łodzią płynąć do biura telegraficznego.
Fot. W. Wojucki (Bydgoszcz)



Gen. Lucjan Żeligowski. Oswobodziciel Wilna, awansowany ostatnio na generała broni — w karykaturze.
Rys. dla „Nowości“ A. Wasilewski.

Europeizacja i demokratyzacja Starego i Nowego Świata poczyniła w ostatnich czasach ogromne wprost wyłomy w tradycji i konserwatyzmie dumnych wyspiarzy. Japoński strój narodowy ucieka wstydliwie z ulic stolicy i wielkich portów w tajemniczą głąb kraju... Jeszcze tylko we wioskach górskich, w świątyniach dostojnego Kioto i w zamkach starych, zacietrzewionych w szowiniźmie i tradycjach rycerskich rodów zachowała się stara, dziwna Japonja, pełna niezwykłego uroku i czaru, obca, odrębna, swoja własna i z za tych szańców wygraża pięścią wstrętnemu najazdowi „białych djabłów“. Poza tymi „ostatnimi Mohikaninami“ Japonja zmodernizowała się cała. Nawet dwór, ta ostoja kultu cesarzy i symbol narodowej dumy otworzył swoje bramy gościom z Zachodu i Wschodu. Stary ceremonjał dworski, obwarowywanie się niedostępnym murem, balwochwalcza cześć dla władającego „boga“ należą już do przeszłości. Najlepszym przykładem tego, jest charakterystyczny bardzo obrazek, ktory umieszczamy powyżej. Oto księżniczka Nashimoto, klejnot cesarskiego domu, udaje się na zakupy do miasta w towarzystwie służebnic i sama odwiedza skład towarów (firma Thirokeya w Tokjo), co dawniej było sprzeczne z etykietą i ceremonjałem dworkim i rzeczą wprost nie do pomyślenia.

Czasy zmieniają się — Europa zdobywa wszystko i wszystkich w trjumfalnych pochodzie.





W krainie kwitnącej Wiśni: 1) Burzliwe demonstracje w Tokio przeciw rządowi br. Kiyoury. 2) Księżniczka Naskiniota sama dokonuje zakupów,



JEJ CHŁOPIEC

OPOWIEŚĆ Z PUSTYNI ARABSKIEJ

NAPISAŁ T. M. NITTMAN. IIUSTRACJE ALFR. ŻMUDY.

5)

Lecz momentalnie chwycony wpół, rzucony na ziemię, skopany zabłoconym, podkutym butem — dyszał wpół przytomnie...

Nad sponiewieranym w zwierzęcy sposób, zabrzmiał krótki rozkaz.

„Anbinden!"

Biedny, ledwo żywy Jurek wiedział co znaczy to straszne słowo!

Patrzał przecież nieraz na te męczarnie kolegów, podciągniętych na sznurach pod ramionami w górę na drzewie, aż mdleli biedacy z bólu, nie mogąc dosięgnąć ziemi palcami, w wykręcającym stawy uścisku postronków.

Groza zjeżyła mu krwią polepione włosięta i ostatecznie stracił przytomność.

— Uciekać stąd! Byle gdzie, w świat! Uciekać z rąk tych oprawców w cesarskich mundurach! Zatrzęsło Jurkiem do szpiku kości, gdy ocknął się wreszcie z omdlenia, w ciemnej małej norze, na wpół zgnitej macie palmowej, w areszcie!

— Pomścić się za krzywdę, za sponiewieranie i uciec precz, w daleką, wolną pustynię! O, gdyby mógł go dostać w ręce, to zwierzę z żółtym galonem! — rozmyślał, ściskając pięście.

Żądza mściwa sprawiała ulgę obolałej głowie, zduszonym piersiom, przekrwawionym policzkom.

Ale gdy się rozglądnął po swej kazamacie, pojął wnet, jak trudno wykonać śmiałe zamierzenia!

Jak trudno uciec, jak jeszcze trudniej pomścić się!

Z tęgich brewion sklecony barak, który niegdyś za stację karawanom służył, obrócony obecnie na rodzaj koszar. Mieściły się w nim składy, kancelarje i areszta bataljonu. Okien nie było wcale, przez szpary w dachu zaglądał księżyc.

Oswoiwszy się z panującym mrokiem, dostrzegł chłopak z lewej strony cienkie przepierzenie a za nim rozbrzmiewał szept rozmowy, czy modlitwy.

Przyłożył ucho i uchwycił angielskie słowa. Ach, więc tak? Tam są zamknięci owi jeńcy angielscy, obecnie współtowarzysze niedoli.

Ostrożnie począł pukać w ścianę. Głos umilkł. Wtedy on, Jurek, odezwał się cichutko:

— Kameraden!

— Kto tam? odpowiedziano mu łamaną niemczyzną.

— To ten Polak, co wam tytoń dawał!

— Ach! Well! Good by! Co ty tu robisz?

— Zamknęli mnie, — jak i was!

— Jeden z nas już jest wolny!

— Jakto?

— Bo właśnie umarł przed chwilą...

Odmawiałem za duszę jego ostatni pacierz.

Głos z tej i z tamtej strony umilkł. Zamknęła im usta groza śmierci.

Jurek myślał...

— Za tą cienką ścianką leży trup?!

Jakie to dziwne! Umarł przed chwilą, tak cicho?

Wreszcie odezwał się znów do niewidzialnego sąsiada.

— A cóż ty teraz robisz?

— Ja? Wieję stąd! Dotąd nie mogłem tego uczynić, gdyż nie chciałem zostawiać mego towarzysza.

On by nie wytrzymał drogi przez pustynię — jeszcze raz! Mam już wszystko przygotowane...

— Ja też o tem samem myślałem, ale nie wiem jak to zrobić.

— Well. Wezmę cię ze sobą. Przyjdź tu do mnie...

— Którędy?

— Zaraz ci pokażę...

Cienkie deszczułki przepierzenia trzaskać poczęły jak pudełka od zapałek i wkrótce utworzył się spory otwór.

— Przełaź! Komenderował Kanadyjczyk.

— Ojej, boli mnie wszystko.

— To trudno. Niema ani chwili czasu.

Z pomocą nowego sprzymierzeńca Jurek znalazł się wkrótce w sąsiedniej celce.



Na ziemi leżał zimny i wyprostowany trup anglika daleki i już tak obojętny na wszystko!

Chuda, zżółkła twarz, zżarta gorączką, patrzyła w powałę szklannemi, martwemi oczyma.

— No mały, co z tobą zrobili? pytał współczująco Tom Ilić oglądając posiniaczone policzki Jurka.

Chłopiec pokrótce opowiedział o swoim upokarzającem przejściu a tamten aż trząsł się z oburzenia.

— I armja co tak traktuje swoich żołnierzy, chce świat podbijać? A, bydlaki! I to Europa, XX wiek!

Wtem słowa obu zamarły w gardle.

Ucichli nadsłuchując.

Leciuchne niewyraźne skrobanie doleciało ich z zewnętrznej strony baraku.

— Kto to może być? — szepnął Jurek.

— Czekaj, ja wyjrzę!

Ostrożnie odsunął dawniej już widocznie przecięte belki i tarcice i przechylił głowę.

Z drugiej strony rósł gęsty krzew tamaryszku.

Głowa anglika cofnęła się znów.

— To jakieś pokurcze arabskie, nożem dłubie w deskach. Nie umiem z nim się rozmówić.

— Ja zobaczę! szepnął Jurek i z kolei wsunął się między belki.

Ale co za radosna niespodzianka!

Z pośród gałęzi uśmiechnęły się do niego poczciwe, czarne ślipka jego pupila. To — „Cwał"!

— Chodź tu! – rozkazał mu. Chłopczyna, wślizgnął się do środka.

— Effendi! o Effendi! Ja znaleść ciebie! Ja szukać! Ja widzieć wszystko! Ja podglądać!

Wolna pustynia czeka na ciebie!

Ja uciekać razem z tobą.

Szeik wrócić, bić znowu. Chcesz iść ze mną? Ja przygotować wielbłądy; Jeden — dwa — trzy. Wy czekać na mnie pod lasem — jak księżyc będzie wstawać!...

Jurek chwycił go w ramiona, dorozumiawszy się z jego arabsko-turecko-niemieckiego żargonu, popartego obficie gestami, o co malcowi chodzi.

— I dla mnie tak się narażasz?

A jak cię złapią?

— Wielbłądy ścigłe. Wybrać ja najlepsze. Nie dogonić ich! A ja twój, Effendi. Ty był dla mnie jak brat!

— A twoja siostra?

— Ona bezpieczna. Pojechała z Karawaną do Adenu.

Jej nie ścigać. Mnie ścigać. Bo ja wziąść wielbłądy Szeikowe.

Bądźcie gotowi! Saalem Alejkum!

Zwinne ciałko chłopca zniknęło w otworze, kołysał się jeno jeszcze krzak Tamaryszku...

— —

Pani Mokrzycka odbywała swój codzienny spacer. To znaczy z domu na pocztę.

Bo nuż list przyszedł od Jurka?

Przecież to już — liczyła na palcach — 3 — 4 — 5 — 6 o więcej jeszcze! — tygodni od ostatniej wiadomości!! Na miły Bóg! Ostatnia — to gdzieś w marcu, a teraz maj zbliża się ku końcowi!

Szczupła, drobna jej postać w ciemnej narzutce przesuwała się szybko pod krzywemi parkanami, wzdłuż chodników dziurawych.

Mimo lat troski, zgryzot, kłopotów czerstwa była jeszcze i ruchliwa bardzo.

Miękkie popielate włosy tu i ówdzie siwa osrebrzyła nić. Ale w oczach było tyle młodości! Jeno koło ust zmarszczki żalu, niepokoju, tęsknoty!

Twarz ozłacał uśmiech mądry i dobry, uśmiech pobłażliwy tych, co sami dużo wycierpieli, więc serce i oczy otwarte mają na każdą cudzą niedolę, uśmiech tych, którzy całe życie strawili dla drugich, nie myśląc nigdy prawie o sobie. Ona sama nie zastanawiała się nad tem. Uważała to za tak proste. Czyż mogło być inaczej w jej życiu?

Najstarsza w domu, żyła najprzód dla sióstr, dla braci młodszych, a potem wyszła za mąż i kochała bardzo, choćby za to już, iż ją zechciał! I znów żyła dla męża tylko. A potem dzieci. Cóż? Kiedy nie chowały się! Dwoje umarło, został tylko ten ostatni. Więc to znów takie naturalne, że stał się jej wszystkiem!

Zwłaszcza, gdy on, mąż, odszedł od niej za inną, tak, tak, cicho serce! to już dawno temu. Widać mu źle z nią było! Odszedł i nie wrócił...

Aż dopiero w wiele lat potem. . Jureczek już był w szkole, ale nic nie wiedział. Wierzył, że tatuś wyjechał. Dostała nagle list i tyle zagranicznych na nim marek!

Więc się zebrała i pojechała jak stała, natychmiast, ale on już był nieprzytomny. Bredził jeszcze całą noc i umarł.

Bóg dobry jednak. Umarł, trzymając ją za rękę, z jej imieniem na ustach!

Tamta druga odjechała jeszcze przed tem, gdy tylko zachorował. Wzięła wszystkie pieniądze i znikła!

Wtedy na nią przyszła kolej stanąć przy łóżku konającego i bodaj ostatnich chwil parę mu osłodzić.

Tamta przecież nie kochała, brała co dawał, a ona żona jego, dawała, gdyż nie umiała inaczej.

A potem... potem wróciła do Jurka.

Chłopak tymczasem rósł, dojrzewał, oczy miał całkiem ojca, tylko serce lepsze.

Gdy zdał maturę, powiedziała mu wszystko i pokazała wybladłą fotografję ślicznej blondynki o złych oczach, która mu zabrała ojca.

Cóż? Chłopiec gorący, nie umiał tak wybaczać jak ona. Naprzód. zbladł a potem uciekł z domu i trzy dni go nie było. Gdzie się błąkał? Bóg raczy wiedzieć!

Wreszcie wrócił i długo płakał u jej kolan, a ona gładziła zwichrzoną czuprynę i pocieszała go.

Jurek jednak przeklinał „jej" imię i mścić się chciał...

W końcu przestał łkać, zdusił łzy, uspokoił się ale nie zapomniał, o nie!

Ona go zna! Taki zacięty, — jak i ojciec!

Skrył jeno swój ból i jej hańbę, gdzieś na samem dnie młodziutkiej duszy.

Od tej pory nie mówili już o tem nigdy.

Potem — on musiał kryć się. Wyjechał, już go nie widziała więcej.

Mój Boże! Mój Boże! A może on dlatego nie pisze, że wróci niespodziewanie? On lubi ją tak zwodzić!

A może przecież bodaj karteczka czeka na nią na poczcie?

— Jeśli jest, jutro i tak listonosz ją przyniesie! Ochładzał ją złośliwy zimny rozsądek — zresztą nic pewno niema, głupie, stare serce!

— A może przecież? A jeśli tak, jakże czekać do jutra? Nie, nie, pójdzie zaraz.

Spojrzała na zegar miejski. Pocztę zamykają o 5-tej. A teraz dochodzi 4-ta.

Przed samym jednak budynkiem pocztowym zawahała się. Wejść? A jeśli nic?

Podświadomie, sama siebie okłamując, przypomniała sobie nagle bardzo ważny sprawunek!

(Byle zyskać na czasie!)

Póki nie wie napewno, może mieć jeszcze nadzieję!

Byle odwlec chwilę zawodu!

— Zawróciła do miasta i wstąpiła do znajomego sklepu.

— Czem można służyć pani doktorowej? — zapytał ugrzeczniony subjekt.

— Dla mnie proszę... — zająknęła się, czegoż ona chciała? Ach tak! 10 dkg. drożdży!

Wyszła ze sprawunkiem i znów zwróciła się ku poczcie...

Liczyła kroki: Dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści. Czy jednak nie idzie za szybko?

Drzewa w kwiecie uśmiechały się do niej, wszystko dyszało radością wiosny.

— Delikatne płatki akacji śpiewały słodko:

— Spiesz się! Spiesz! Tam cię czeka list od syna, list z dalekiej drogi!

Pokrzywy zaś pod parkanem szorstkiemi trącając się liśćmi, zabijały znów słabą iskrę otuchy:

— Niema nic! Niema nic!

Poco się tak spieszysz?

To zwalniała, to przyspieszała kroku. Długo stała przed żółtym, brudnym budynkiem.

Aż wreszcie wyszedł stary Mateusz, woźny, z pękiem kluczy.

— Pani na pocztę? Proszę się spieszyć bo zamykamy!

Jednym tchem znalazła się przy okienku.

— Przepraszam. Czy niema czegoś dla mnie? Doktorowa Mokrzycka!

Urzędnik, zbierający się już do wyjścia, niechętnie spojrzał na nią.

— Jak nazwisko?

— Mokrzycka.

Podszedł do szafki z listami i długo szperał w stosie ostemplowanych kopert.

Czekała, przyciskając dłonią bijące serce. W uszach szum, w ustach posmak słony. Jak długo, jak długo to trwa! Prędzej! Skróćcie mękę!

Urzędnik wziął jakąś kartkę do ręki, zrobił dwa kroki...

— Głupie serce matki nie szalej!...

— Mokrzycka? Niema nic!

Urzędowe okienko zatrzasnęło się z hałasem.

Sztywne nogi wyniosły ją automatycznie z brudnej izby na roześmianą, wiosenną ulicę

Rękami przyciskała bezwiednie do biednej zbolałej piersi paczuszkę — 10 dkg. drożdży.



Przez lotne piaski pustyni cwałem biegły trzy wielbłądy...

Przez piaski pustyni.

A tymczasem przez lotne piaski pustyni cwałem biegły trzy wielbłądy.

Pod szerokiemi racicami zwierząt rozstępowała się sypka ziemia, tworząc długi, dłużący się coraz bardziej szlak kopyt.

Biegły w ciemną dal rudych wydm i pagórków kamienistych.

Po niebie, po granatowem wędrowały gwiazdy, gwiaździste żmije mleczną drogę z zaświatów w zaświaty.

A na ziemi mroczno było i ponuro.

Gdzieś, w ciemnościach wyły głodne szakale.

Pustynia gorącym oddechem swym wypijała krew z żył ludzi i wierzchowców szkliwem piaszczystym zasypując oczy i nozdrza, usta i uszy...

Ostre ziarenka wciskały się boleśnie pod skórę, we włosy, w ubranie, kłując dotkliwie tysiącem niewidocznych, drażniących szpilek.

Pierś zespieszona szukała łapczywie krzty świeżego powietrza, ale nie było go, gdyż wiatr niósł z tajemniczych głębin Arabji zabójczy żar, upalnym powiewem ogarniający znużoną skroń.

Sierp księżyca niesamowitym, metalicznym blaskiem oświetlał trzech jeźdźców...

Przodem, pochylony w siodle, oczyma błyszczącemi wypatrując znajomej drogi, pędził mały „Cwał", cały zatulony w biały burnus, zaduży, zwisający fantastycznemi fałdami z chudych boków zwierzęcia.

Drugi, w pewnej odległości, gnał Kanadyjczyk, po żołniersku wyprostowany, w swym „khaki" mundurze jednolity w kolorze, nieruchomy jakby zrośnięty z wielbłądem.

A na samym końcu, ociągając się w tyle — Jurek. Nienawykły do tak szalonej jazdy, kurczowo czepiał się garbu i piętami popędzał rozkołysanego w biegu dromadera, który niezgrabnie, a jednak szybko rozstawiał swoje długie nogi.

Toteż chłopiec w miarę tego jeździł z boku na bok po siodle, starając się od czasu do czasu wyschniętym językiem napróżno zwilżyć popękane od gorączki i pragnienia wargi.

I te trzy ruchome postacie, rozsypane łańcuchem po piaszczystym bezkresie, dziwnie niesamowite sprawiały wrażenie. Kontury jeźdźców i wierzchowców, owych odrażająco brzydkich stworzeń, z małą główką na końcu długiej szyji, z odstającemi żebrami i skołtunionej sierści, zlewały się razem w jeden długi rozbiegany kształt, dziwaczny i śmieszny, choć pełen grozy zarazem...

I w tym szarym półświetle gasnącej nocy południa zdawało się, iż to jakieś mityczne potwory z osiedli swych ruszyły i kłusują przez spopielałą ogniem ziemię: Na żer, na łup, na zatracenie.

— Tak pędzili naprzód dobrych parę godzin, nie zwalniając biegu, w nieznaną pustynię, byle dalej od znienawidzonego obozu!

(Dalszy ciąg nastąpi).

M. MC. DONNELL BODKIN.

STRZAŁ

2) Przekład z angielskiego.

Namiętny gniew Neville'a uspokoił się równie szybko jak wybuchnął. Jego piękne czoło rozpogodziło się, a w głosie nie było już ani śladu gniewnego wzburzenia, gdy odparł:

— Ma pan zupełną słuszność, panie Wardle. Co ma się ze mną obecnie stać? Czy muszę się uważać za pańskiego więźnia?

— Lepiej nie. Musi pan zrobić jeszcze niejedno do czego potrzebna panu będzie wolność. Proszę mi dać słowo honoru — więcej nie wymagam.

— Słowo honoru — na co?

— Że stawisz się pan, kiedy będzie potrzeba.

— Ależ człowiecze nie będziecie mnie chyba uważali za tak szalonego. abym uciekał, kiedy wniesiono przeciw mnie oskarżenie o morderstwo.

— Niechże sobie jaśnie pan tak znów nie bierze tego do serca. Londyński detektyw już tam wszystko rozjaśni, niech pan będzie pewny. — Czy dostanę przyrzeczenie?

— Tak, daję panu moje słowowo honoru.

— Może lepiej-by pan zrobił wracając do domu. Służba przebąkuje do siebie rozmaite rzeczy. O ile możności będę się jak najmniej pokazywał, a o tem co pomiędzy nami zaszło nie potrzebuje nikt wiedzieć.

Kiedy John Neville wracał aleją do domu, domu, dopędził go lekki faetonik, który zatrzymał się tak nagle, że żwir rozprysnął się na wsze strony z pod kopyt końskich. Silny, wysoki mężczyzna, zajęty dotychczas żywą rozmową z woźnicą, zeskoczył na ziemię tak lekko, jak nie można się było tego spodziewać po jego tuszy.

— Pan John Neville, jeśli się nie mylę? Nazywam się Beck — Paweł Beck, tajny ajent.

— Czy możliwe, p. Beck? Sądziłem że pan nie może przybyć tutaj przed północą.

— Specjalny pociąg — rzekł Beck z ujmującem uśmiechem — W pańskiej depeszy były słowa: „Koszta obojętne". Czas jest częstokroć bardzo cenny. A także w takich wypadkach spokój i wygoda mają niemałą wartość, przeto zamówiłem sobie specjalny pociąg i oto jestem na miejscu. Jeśli pan pozwoli wyszlę powóz napizód, a sami pójdziemy dalej pieszo. A to nie ładna historja, panie Neville. Zabity strzałem jak mi powiada woźnica. Czy na kim ciąży podejrzenie.

— Mnie podejrzewają o spełnienie tego czynu — wybuchnął głośno i gwałtownie John Nerille.

Beck przez chwilę spojrzał nań pytająco, nie zdradzając wszakże najlżejszego zdumienia.

— Skąd pan o tem wie?

— Konstabl miejscowy Wardle powiedział mi to w oczy. Muszę to uważać za specjalne względy z jego strony, że nie zaaresztował mnie na miejscu.

Beck przeszedł kilkanaście kroków obok John Neville'a.

— Czyż nie miałby pan nic przeciwko temu, aby mi dokładnie powiedzieć, dlaczego na pana pada podejrzenie? — spytał poufale.

— Nic a nic.

— Nie upominam pana do ostrożności, ale również nie mogę panu nic przyrzec — ciągnął szybko detektyw. — Chodzi mi o odkrycie prawdy. Jeżeli pan uważa, że prawda będzie dla pana korzystna niech pan najlepiej mi w tem pomoże. Wiem, że takie postępowanie nie jest całkiem zgodne z prawem, ale nic mi na tem nie zależy. Widzi pan, panie Neville, jeżeli kogoś oskarżają o zbrodnię jest zawsze jeden świadek, który wie, czy człowiek ten jest winny, czy nie. Drugiego świadka częstokroć niemożna wynaleźć. Pierwszą rzeczą jednak, którą wedle prawa brytyjskiego przedsiębierze się dla uzyskania prawdy jest zamknięcie ust temu jedynemu świadkowi, który zna prawdę. Ale ja nie zacznę sprawy w ten sposób. Pozwalam chętnie niewinnemu opowiedzieć całą historję na swój sposób i nie robię sobie wyrzutów sumienia, kiedy winnego — jeśli mi się to uda — wciągnąć w pułapkę.

Przy tych słowach spojrzał otwarcie w oczy Johna Neville'a a młody człowiek nie umknął przed jego wzrokiem.

— Zdaje mi się, że pana rozumiem. Co pan chce wiedzieć? Od czego mam zacząć?

— Proszę opowiadać od początku. Jaki był powód sprzeczki, którą pan wczoraj prowadził ze swoim stryjem?

Neville zawahał się przez okamgnienie, co nie uszło uwagi tajnego ajenta.

— Nie ja spowodowałem sprzeczkę, ale raczej on ją wywołał. Sprawa mianowicie przedstawia się następująco: Między moim stryjem a pułkownikiem Peytonem, jego sąsiadem panuje śmiertelna nieprzyjaźń. Dobra ich graniczą ze sobą i pokłócili się o prawo do polowania. Mój stryj wpadał często w gwałtowny gniew i nazywał pułkownika „ordynarnym kłusownikiem". Ja nie brałem w kłótni żadnego udziału i, kiedy później spotkałem się znów z pułkownikiem, zrobiło mi się nieswojo, ponieważ wiedziałem, że stryj nie ma słuszności. Pułkownik spotkał mnie jak najgrzeczniej. „To nie może przeszkadzać naszej przyjaźni. John — powiada — cała ta kłótnia jest niedorzeczna i dałbym chętnie swoje najlepsze łowisko, żeby do niej nie było nigdy doszło. W obecnych czasach nikomu nie przynosi zaszczytu stanąć do pojedynku, a dwaj szlachcice nie mogą się nawzajem przezywać niby przekupki. Sądzę jednak, że nikt nie będzie mnie uważał za tchórza dlatego, iż wstrętny mi jest wszeki skandal".

— „Pewnie" — odparłem. — Pułkownik bowiem odznaczył się w rozmaitych bitwach. Łucja pokazywała mi raz jego krzyż Wiktorji, który przechowuje w zamkniętej szufladce. Łucja jest jego jedynaczką, którą kocha nad życie. Rzecz naturalna nie przerwałem stosunków z pułkownikiem, ponieważ lubiłem go i jego dom stał dla mnie zawsze otworem. Ale dla mojego stryja była nasza przyjaźń powodem do gniewu. Ostatniemi czasy bardzo często chodziłem do domu pułkownika i o tem mu doniesiono. Wczoraj przy obiedzie tak grubiańsko wyrażał się o pułkowniku i jego córce, że musiałem ich wziąć w obronę. „Ty bezwstydny chłopcze" — wrzasnął na mnie — „skąd ci przyszło do głowy brać przede mną w obronę tego parwenjusza?"

— „Peytonowie pochodzą z równie dobrej rodziny jak my stryju" — odparłem. — „Zresztą oświadczyłem się o rękę panny Łucji i zrobiła mi ten zaszczyt. że przyrzekła mi zostać moją żoną".

Wówczas stryj wpadł w wściekły gniew. Jak wyrażał się o pułkowniku i jego córce, tego nie mogę powtórzyć. Nawet po jego śmierci trudno mi przebaczyć mu te słowa. Przysiągł, że już nigdy nie raczy na mnie spojrzeć, jeżeli tak dalece się poniżę, by zgodzić się na to małżeństwo.

— „Niestety dobra te są majoratem i nie mogę cię wydziedziczyć" — krzyknął. — „Ale uczynię z ciebie żebraka, dopóki ja żyję — to potrafię. A na złość tobie będę żył jeszcze ze czterdzieści lat. Ten kłusownik może cię przyjąć za zięcia, kiedy tylko zechce. Idź i sprzedaj się jak najdrożej, żyj z majątku swej żony, jeżeli ci się zachciewa".

Wtedy nakoniec żółć we mnie wezbrała i powiedziałem mu, co o nich sądzę.

— Czy może pan sobie jeszcze przypomnieć dokładnie słowa? To bardzo ważna rzecz — spytał Beck.

— Powiedziałem mu, żeby swe lekceważenie zachował dla siebie. Ja poświęcę Łucji Peyton całe swe życie, a nawet pójdę dla niej na śmierć, gdy będzie potrzeba, bo do niej należy moje serce

— Czy powiedział pan: „Przynajmniej tem się pocieszam, że nie możesz żyć wiecznie"? Woźnica mi o tem opowiadał. Jak pan widzi, to kłótnia jest już na ustach wszystkich. Niech się pan dobrze namyśli — czy pan powiedział pan to?

— Zdaję mi się, że tak. Tak, teraz wiem już napewno, ale byłem tak wściekły, że nie mogłem ważyć swych słów. W każdym razie ani w przybliżeniu o tem nie myślałem...

— Kto jeszcze był w pokoju podczas kłótni?

— Tylko mój brat stryjeczny Eryk i kamerdyner.

— Lokaj prawdopodobnie rozniósł tę historję?

— Bez wątpienia. Eryk z pewnością tego nie zrobił, gdyż ta scena była dla niego równie przykra jak dla mnie. Usiłował nawet pośredniczyć między nami, ale to rozdrażniło tylko stryja jeszcze bardziej.

— Do jakiej kwoty dochodziłe suma, którą panu wypłacał?

— Tysiąc funtów rocznie.

— Prawdopodobnie miał prawo zatrzymać panu te pieniądze?

— Rozumie się.

— Ale majątkiem ziemskim nie wolno mu było rozporządzać. Pan był jego prawnym spadkoziercą i pan jest w tej chwili właścicielem zamku Berkly.

— Tak jest, ale aż do obecnej chwili ani jedna myśl moja nie dotyczyła tej sprawy, niech mi pan wierzy.

— Kto po panu następuje w dziedzictwie?

— Mój stryjeczny brat Eryk, który jes to cztery lata młodszy ode mnie.

— A po nim?

— Jakiś daleki krewny, którego prawie nie znam. Nie cieszy się dobrą sławą i wiem, że mój stryj i on wzajem się nie cierpieli

— Jaki był stosunek pomiędzy pańskim stryjem i pańskim bratem stryjecznym Erykiem?

— Pozostawiał wiele do życzenia. Stryj nie cierpiał ojca Eryka — swego najmłodszego brata — i także względem Eryka był często nieprzyjazny. Wymyślał na nieboszczyka ojca w obecności syna, nazywał go okrutnym, podstępnym i tem podobnie. Biedny Eryk często cierpiał wskutek tego. W sprawach pieniężnych traktował go stryj hojnie, dawał mu tyle, co i mnie, pozwalał mieszkać w zamku i nie odmawiał mu niczego. Ale niekiedy dotykał ciężko biednego chłopca gniewnemi albo szyderskiemi słowami, lecz Eryk zdawał się go pomimo wszystko lubić.

— A teraz co się tyczy morderstwa — tego wieczoru nie widział się już pan zapewne ze swoim stryjem?

— Wogóle nie widziałem go już żywego.

— Czy wie pan, co robił następnego dnia?

— Tylko ze słyszenia.

— Takie świadectwo jest niejednokrotnie bardzo cenne, chociaż sąd jest przeciwnego zdania. Co panu o tem powiedziano?

— Mój stryj był namiętnym myśliwym, inaczej nie byłby rozpoczął kłótni z pułkownikiem. Dzierżawił moczar, bekowisko cietrzewi o dwadzieścia mil stąd i nie zaniedbywał nigdy początku polowania. Przy pierwszym okrzyku samca wybrał się w drogę ze swym nadleśni czym Lennoxem ja miałem także iść z nim, ale potem, co zaszło nie towarzyszyłem im naturalnie. Zupełnie wbrew swym zwyczajom stryj wrócił już o dwunastej i udał się natychmiast do swego gabinetu. Siedziałem właśnie przy biurku i słyszałem, że przechodził ciężkiemi krokami mimo moich drzwi. Później zastał go Eryk śpiącego mocno na kanapie. Zaledwie pięć minut potem. skoro go opuścił, usłyszałem strzał i wpadłem do pokoju stryja.

Czy zbadał pan wszystko dokładnie, ujrzawszy, że stryj nie żyje?

— Nie, Eryk to proponował, lecz ja się sprzeciwiłem. Zamknąłem zaraz drzwi i wyjąłem klucz, dopóki pan nie przybędzie.

— Samobójstwo pewnie jest wykluczone?

— Wedle mego zdania, tak. Rana jest zadana w tył głowy.

— Nie wie pan, czy pański stryj posiadał jakich wrogów?

— Kłusownicy nienawidzili go wszyscy, gdyż prześladował ich niemiłosiernie. Raz jeden drab strzelił do niego, na co mój stryj odpowiedział strzałem i strzeskał mu nogę. Najpierw kazał go zawieść do szpitalu, dopóki się nie wyleczy, a potem zaskarżył go i wpakował na dwa lata do więzienia.

— Sądzi pan więc, że zamordował go jakiś kłusownik? — spytał Beck spokojnie.

— Nie wiem, jak mógłby to uskutecznić. Mój pokój leży przy tymsamym korytarzu, przeto musiałby przechodzić mimo moich drzwi. Skoro tylko usłyszałem strzał wypadłem z pokoju, lecz nie ujrzałem nikogo.

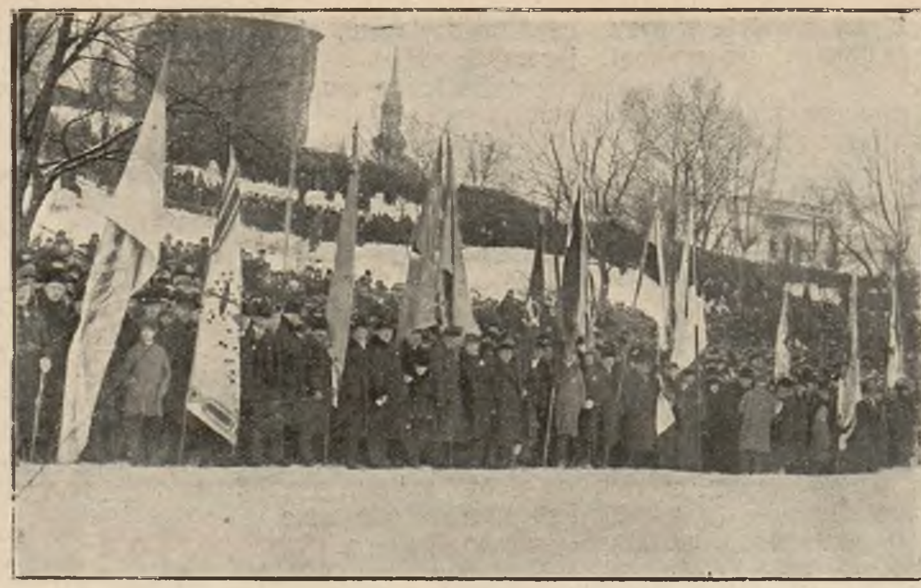
— Może morderca umknął przez okno?

— Eryk powiada mi, że stał razem z ogrodnikiem tuż pod oknem.

— Jakże tedy, wytłumaczy pan tę sprawę, panie Neville?

— Jest nie do wytłumaczenia.

(Ciąg dalszy nastąpi).





6-ta Rocznica niepodległości Estonji: Uroczysty obchód w Tallinie (Rewlu) 1) Organizacje społeczne i stowarzyszenia ze sztandarami. 2) Naczelnik Państwa Paets przemawia w czasie defilady. Stoją 1) Nacz. Państwa. 2) Min. Spraw Wojsk. Einlund. 3) Szef sztabu gen. Lill i dow. garniz. gen. Und.

Uroczystości estońskie.

Tallin (Rewel), w marcu 1924.

W skromnej i cichej stolicy Estonji święciliśmy przed kilku dniami Święto Narodowe tej tak blizkiej nam i więzłami serdecznej przyjaźni związanej z nami republiki bałtyckiej. Estonja obchodziła 6-tą rocznicę swej niepodległości, a ze świętem tem narodowem związane było święto galowe— urodziny ówczesnego prezydenta Estonji Konstantyna Paetsa.

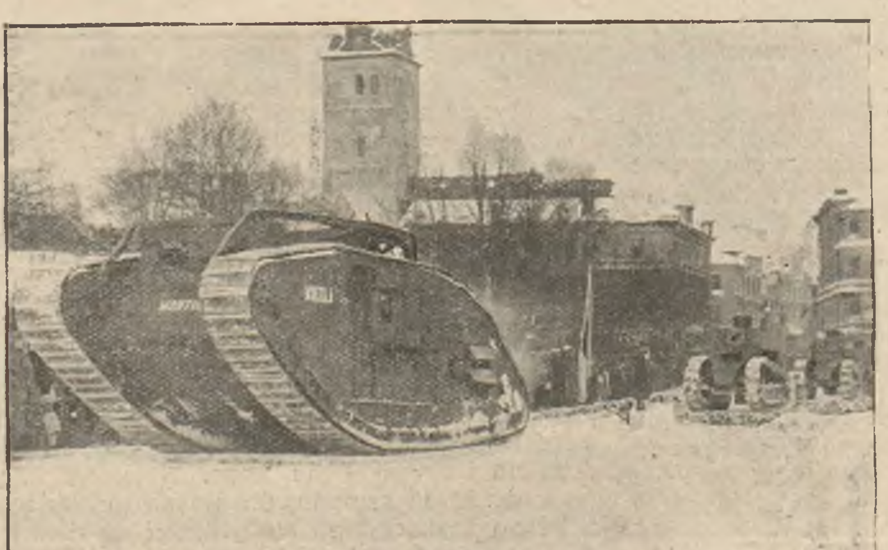
Piszę „ówczesnego“ bo w kilka dni później przestał on już być prezydentem. Gabinet Paetsa upadł, a że w Estonji każdorazowy prezydent ministrów jest „naczelnikiem państwa“ czyli „Rügiwanem“ (co znaczy po polsku „starosta państwowy“) więc już dziś Estonja ma nowego premjera i prezydenta p. Ackela i jeśli te kryzysy gabinetowe częściej powtarzać się będą — to rychło Estonja pobije nastarsze republiki Europy ilością swych b. prezydentów.

Ostatni dymisjonowany już dziś prezydent p. Paets — był nieprzeciętną naprawdę postacią. Adwokat i dziennikarz, wiceprezydent miasta Rewla, dzisiejszej stolicy, już w roku 1904, a więc w czasie gdy liczył zaledwie 30 lat, w 1905 roku za udział w niepodległościowym ruchu estońskim skazany na śmierć, przez pięć lat przebywał na emigracji. Powrócił z niej do Finlandji a potem do rodzinnego Rewia, obejmując znów redakcję pisma swego „Tallinna Teataja“. Zadenuncjowany i skazany za działalność polityczną odbył rok więzienia w Krestach. W czasie wojny był jednym z przywódców estońskiego ruchu narodowego, przewodniczącym związku wojskowych estońskich i prezesem kongresu narodowego. B. więzień rosyjski poznał również i więzienie pruskie, oskarżony o organizowanie spisku antyniemieckiego. Z chwilą odzyskania przez Estonję niepodległości staje na czele jej rządu jako premjer i minister wojny i dwukrotnie tę godność zajmuje.



B. Naczelnik Państwa i prezydent ministrów Estonji Konstantyn Paets.

Nic dziwnego też, że dzień święta prywatnego tego z pierwszych twórców i bojowników niepodległej Estonji, obchodził kraj cały uroczyście wraz ze świętem 6-ej rocznicy niepodległości. Manifestacje organizacji społecznych, defilada wojska i uroczyste obchody uświetniały tę rocznicę. W defiladzie rewelskiej specjalną uwagę i owację wywoływała grupa kawalerów orderu „Swobody“, którzy w całej Estonji cieszą się nieywykłą czcią i szacunkiem. W kilka dni po tych obchodach — spotkał się p. Paets z jeszcze jednym dowodem sympatji i uznania — z Polski. Minister nasz pełnomocny p. Dobrzyński w towarzystwie polskiego attachè Wojskowego Drymmera i sekretarza poselstwa p. Zazulińskiego wręczył premjerowi Estonji wielką wstęgę orderu „Polonja Restituta“. *Mirski.*





Uroczysty obchód w Tallinie: 1) Defilada tanków. 2) Oddział marynarki woj. w defiladzie.





Match Polonja—Cracovia (4 : 1) w Warszawie, w dniu 30 marca: 1) Cracovia w defenzywie, 2) Krytyczny moment pod bramką Cracovii Fot. Wacł. Rokosz, Warszawa.

Ze sportu.

Match Polonja-Cracovia 4 : 1 (0 : 0).

Krakowska opinja sportowa winna uderzyć na alarm. Klub „białoczerwonych“, któremu dotychczas bezwzględnie się należała palma pierwszeństwa w „piłkonożnym“ dziale naszego sportu słabnie, upada, degeneruje się i nie jest już w stanie wystąpić w tej formie, w jakich zachwycał niegdyś nasze oczy. „Cracovia“ lew polskiego footballu, „Cracovia“, która miała wszelkie dane po temu, by stanąć na czele i reprezentować nasz sport zagranicą pozbyła się swoich najważniejszych



Match Wisła — Polonia (5:2). Bramkarz Wisły Wiśniewski paruje mocny strzał.

atutów, najtęższych walorów, straciła na rozpędzie i sprawności „bojowej“. Jej znana brawura, błyskawiczna szybkość działania, umiejętność manewrowania na boisku i bezwzględna spokojna pewność operacji ustąpiła grze nerwowej, niewyraźnej, zamazanej, — jednem słowem, coś się popsuło w państwie. A szkoda... Nie mówimv tego dlatego, byśmy mieli martwić się i zawistnie spoglądać na szybki i piękny rozwój innych, rywalizujących z nią drużyn, ale szkoda nam gasnącej i rozpadającej się jednostki sportowej o tak wspaniałej i niezaprzeczenie doskonałej formie, jaką byli „białoczerwoni“. Szkoda nam, że tyle kapitału, pracy i szlachetnych wysiłków może się zaprzepaścić, żal nam zresztą może także i dlatego, że bądź co bądź międzymiastowe ambicje sportowe nie należą bynajmniej do rzędu mniej szlachetnych. Nasz stary gród podwawelski ma prawo żądać od swoich „Cracovia’ków“, by z większym rozpędem zabrali się do pracy i nie oddawali tak łatwo wawrzynów swoim młodszym i mniej doświadczonym braciom innych miast Polski.



Janek Loth (Polonja), najlepszy bramkarz Polski.

Do tych wszystkich smutnych refleksji uprawnia nas wynik warszawskiego, matchu Polonia-Cracovia, po której jeżeli już nie trjumfu, to wyniku remisowego spodziewaliśmy się, a która tak nieszczęśliwie i sromotnie dała się pobić.

* * *

Klęskę krakowską pomściła jednak w tydzień później, w niedzielę dn. 6 kwietnia mistrzowska drużyna Krakowskiego Okręgu „Wisła“, bijąc „Polonję“ w stosunku 5 : 2 (2 : 0).



Liljana Gisch: w filmie griffikowskim „Dom cieni“.

Liljana Gish i Mary Pickford.

Liljana Gish — któż nie zna tego imienia? Kto nie widział i nie zachwycał się jej grą? Nie dawniej, jak rok temu przybyłe filmy amerykańskie dały nam poznać tę młodziutką artystkę, która tak szybką karjerę zawdzięcza genjalności swego reżysera D. W. Griffitha. On bowiem pierwszy poznawszy się na talencie Liljany, poświęcił jej swój czas, wiedząc, iż na owoce swego trudu nie długo mu przyjdzie czekać. Takie filmy jak „Droga na wschód“ i „Dwie sieroty“, dostatecznie nam dowiodły, iż młoda ta artystka to talent zgoła nie przeciętny, a w takich charakterystycznych rolach nie prześcigniony.

Mary Pickford — to całkiem coś odmiennego, gra bowiem przeważnie w komedjach. Wdziękiem i urodą podbiła sobie w krótce serca Amerykanów. Za *swoją Mary* szaleje cała Ameryka. Ale nie tylko Nowy Świat ją ubóstwia, gdyż i Paryż, gdzie niedawno była, został nią oczarowany.

Obie te artystki, najznakomitsze dziś gwiazdy i ulubienice kina amerykańskiego, ujrzy Kraków



Bieg pań z płotkami dn. 6/IV w Warszawie na dystansie 65 mtr. 1) zwycięzczyni biegu panna Szmidówna (12, 5 sekundy)

w wielkim, podwójnym programie „Uciechy“, która raz jeszcze dowodzi tem swej troskliwości o wysoki poziom artystyczny i dobór swego repertuaru.



Mary Pickford: ulubienica Ameryki w świetnej komedji pt. „Kuchareczka“.



„Wspaniały Rogacz“ w Teatrze Małym w Warszawie
Malicka i Justjan. Fot. St. Brzozowski.

„Wspaniały Rogacz“
w Teatrze Małym w Warszawie.

Kulturalne sfery Warszawy zaciekawia żywa polemika, jaka wywiązała się w prasie i w opinji publicznej z powodu wystawienia w Teatrze Małym „Wspaniałego Rogacza“ Crommeblyncka. Fascymująca ta sztuka, mieniąca się na afiszu komedją, przedstawia człowieka, tak namiętnie zakochanego w swej młodej żonie, że popada on w rodzaj manji prześladowczej z nieuzasadnionej obawy o wierność swej najdroższej. Nie mogąc zaś się upewnić o jej wierności, postanawia przekonać się o niej, wypróbowując... niewierność żony. W potwornym obłędzie każe więc jej oddać się po kolei wszystkim mieszkańcom tej samej wsi. Przymieszka elementów farsowych, niesamowicie kontrastujących z okropnością zasadniczej akcji, wzmaga jeszcze tragizm sztuki. Wrażenie jej potęguje wspaniała gra bohatera, Kazimierza Justjana, niedawno przybyłego ze sceny lwowskiej. Partnerką jego jest urocza krakowianka, p. Malicka. Sztuce zarzucają niektórzy brak prawdy życiowej i niepotrzebną drastyczność. Sama jednak żywość polemiki świadczy, że jest to rzecz, napisana z talentem nieprzeciętnym i z prawdziwym nerwem scenicznym. *W.*

Sosnowski — prof. Klenow.

W obecnie wystawianej, trzyaktowej sztuce Karen Bramson p. t. *„Profesor Klenow“*, typowej zresztą bujdzie teatralnej, gdzie mamy wszystko, co trzeba i nie trzeba, trjumfy święci p. Sosnowski. Jego wspaniała męska twarz, tak umiejętnie spreparowana, iż nawet widz w pierwszych rzędach zapomina o całej teatralności a widzi tylko starca, mądrego, potężnego wolą i umysłem, który ślepnie, a tracąc wzrok z godziny na godzinę, chciałby jeszcze resztkami tępiejącego zmysłu oczu, wchłonąć w siebie możliwie jak najwięcej z wiośnianej urody, czaru i suggestywnej krasy ukochanej kobiety, Elizy. Każdy ruch ma swoje uzasadnienie, każde drgnięcie twarzy swoją logikę. A w 3-cim akcie gra wielkiego artysty dochodzi do szczytu: to szukanie po omacku sprzętów, ta niemoc fizyczna przy niezwykłej sile ducha — zrobione jest z takim umiarem, że doprawdy słusznie po tym akcie zbiera zawsze p. Sosnowski rzęsiste oklaski!

Jak łatwo było wpaść w przesadę, stać się odrażająco — nieestetycznym. „Prof. Klenow“ wybrnął jednak szczęśliwie z tak trudnej roli, wzruszył patrzących ową wielką, szlachetną litością, jaką się ma dla pokonanych przez los tytanów.



Znakomity artysta krakowski p. Sosnowski w karykaturze. Rys. dla „Nowości“ A. Wasilewski

Dopomógł przez to tak świetnie autorowi do uzasadnienia psychologji jego bohaterów, iż uwierzyliśmy naprawdę w to, że Eliza go nie kocha, a on gotów ją zatrzymać przy sobie nawet groźbą nikczemną samobójstwa, zaślepiony ostatnią w życiu, starczą namiętnością, która mu daje siły, wzrok i młodość. Dzielnie pomagała mu w tem pani Hańska (Eliza), której głos głęboko tragiczny i gra pełna wyrazu pozwalała się słuchaczowi prześliznąć po niepewnej kładce istoty rzeczy autora. Jeno może zbyt dużo i niepotrzebnie patrzyła po widowni, a piękne jej rączki winny odzwyczaić się od nazbyt szablonowych ruchów.



Stanisława Wysocka.

P. Frenkiel, jako amant, ma tak świetne wejście w II-gim akcie, że uznać w nim należy również talent i inteligencję w pojmowaniu roli. A rola ta nie tak łatwa i stąd może ten niezbyt szczęśliwy szloch przy końcu.

Wreszcie p. Nowakowski. Cóż to za kapitalny typ! I w wyrazie twarzy i rąk i głosu! Jakby żywcem przeniesiony ze spelunki wielkiego miasta. Ruchy kocie, przymilne a groźne, drapieżna pokora w całem zachowaniu — to wszystko stwarzało postać, jakiej się nie zapomina długo!

Tłumaczenie wyszło z pod pióra p. Jaha-Śmiechowskiego — to wystarcza! *(Dr. Nit.)*

St. Wysocka w Krakowie.

P. Stanisława Wysocka, znakomita nasza tragiczka po dłuższym pobycie w Toruniu, powróciła znów do Krakowa, pozyskana przez dyrekcję teatru Słowackiego do reżyserji i wystawienia wielkich sztuk repertuaru klasycznego. Największą z tych wielkich premjer, o których dochodzą wieści z za kulis będzie Eurypidesowa „Medea“, która zapewne w lecie bieżącego roku odegraną będzie na krużgankach wawelskich.

Kto pamięta z roku zeszłego „Odprawę posłów greckic“ z radością przyjmie wiadomość o tym, że myśl wspaniałych widowisk wawelskich nie została zaniechaną, i że w tym roku znów będziemy mieli tak, jak w zeszłym możność uczestniczenia w tych prawdziwych misterjach artystycznych na Wawelu.





„Wspaniały Rogacz“ w Teatrze Małym w Warszawie: 1) ulubienica krakowskiej publiczności, która dziś już stała się ulubienicą Warszawy, Marja Malicka, w roli głównej. — 2) Scena z aktu III-go.



Z życia garnizonów wojskowych: Grupa oficerów gospodarczych Kierownictwa Rejonu Intendantury Grodno z kapitanem intendentem Marjanem Niteckim pośrodku



Niezwykłe wydarzenie w sławetnym Cechu Szewców krakowskich: Pierwsza kobieta, wyzwolona na czeladnika szewskiego w grupie swych przełożonych i kolegów.

Niezwykłe wydarzenie w cechu szewców w Krakowie.

W znanej w całym Krakowie i cieszącej się sympatją i uznaniem klijentów pracowni szewskiej p. Wojciecha Kapery, miała niedawno miejsce niezwykła uroczystość: wyzwoliny na czeladnika szewskiego kobiety, p. Marji Syrkównej ,która po 4-letniej praktyce złożyła wymagany egzamin na czeladnika i to z postępem bardzo dobrym, i została przyjęta do cechu, jako pierwsza w jego szeregach kobieta.

Fotografja nasza przedstawia grupę pracowników firmy p. Kapery. Pośrodku siedzi mistrz grupy p. Wojciech Kapera, mając po prawej swej stronie najstarszego swego czeladnika p. Woszczynę, po lewej zaś kierownika cholewkarni p. Franciszka Hynkiela i II-go kierownika całej pracowni p. Piotra Wąsika. Za kierownikami stoją w 2 rzędach uczniowie pracowni p. Kapery w pokaźnej liczbie szesnastu, — przy nich z boku, pierwszy czeladnik szewski - kobieta p. Marja Syrkówna.

Do P. T. Fotografów!

P. T. Fotografów, tak zawodowych jak amatorów, upraszamy uprzejmie o nadsyłanie nam robionych przez się zdjęć ciekawszych wypadków mogących zainteresować ogół Czytelników, celem reprodukowania ich w naszem Piśmie. Do każdego zdjęcia należy dołączyć notatkę, zawierającą treściwie zebrane szczegóły, ewentualnie przysłać numer któregoś z pism codziennych, gdzie znajdowała się już odpowiednia wzmianka.

Za nadesłane nam zdjęcia, o ile nadadzą się do umieszczenia w naszem Piśmie, wypłacać będziemy ustalone za wzajemnem porozumieniem honoraryum, jakoteż na żądanie zamieszczać pod nią nazwisko lub firmę wykonawcy zdjęcia.



Przesyłki upraszamy adresować: *Redakcya Nowośc Illustrowanych", Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkego l. 95.*

Od Redakcji

W dalszym ciągu prac reorganizacyjnych nad rozszerzeniem i wzbogaceniem pisma naszego, możemy już dziś z czytelnikami naszymi podzielić się radosną dla nas wiadomością, że przyrzekli nam swą współpracę najwybitniejsi literaci polscy.

Nieporównany *Kornel Makuszyński* upoważnił nas do zapowiedzenia czytelnikom, że opowie im o życiu stolicy w specjalnym

„Liście z Warszawy".

P. Stanisław Wasylewski świetny esseista — historyk, autor pełnych wdzięku i uroku opowieści o „Dworze króla Stasia", o „Księżnej Pani", o „Kobiecie i Klasztorze" i wielu dziś już wielu dzieł, stanowiących jedną z najmilszych i najwykwintniejszych lektur współczesnej literatury, przyrzekł nam w najbliższym czasie kilka opowieści ze swych ostatnich studjów.

Pozatem możemy dziś już zapowiedzieć naszym Czytelnikom, że numer nasz Wielkanocny poza materjałem aktualnym zawierać będzie:

Poezje *Edmunda Biedera*, jednego z najwybitniejszych dziś liryków polskich, a wśród nich kilka „Prawd o kobiecie" pełnych subtelnej ironji i humoru, nowelę *Kazimierza Andrzeja Czyżowskiego*, autora „Dziwnej ulicy" p. t. „Sędzia", nawiązującą w pięknej symbolistyce do radosnego święta Zmartwychwstania. Cykl rysunków artysty malarza i majora *St. Felsztyńskiego* p. t. „Bajka o Józiu i drewnianym koniu", korespondencję z Paryża naszej korespondentki p. „Parissetty" o wiosennych modach paryskich i bogaty materjał aktualny.

OGŁOSZENIA

Właściciel i wydawca: Czesław Lipiński. Odpowiedzialny redaktor Dr. Lipiński. Drukarnia i kliszarnia „Nowości Illustrowane“ pod zarządem L. Gronusia (firma Friedlein).